Cena pojedyńczego Nr. 30 gr.

Rok IV. III Radom, styczeń 1927 r. Nr. 4.

FILARETA

MIESIĘCZNIK K. M. „FILARECJA" GIM. PAŃSTW. IM. J. KOCHANOWSKIEGO w RADOMIU.

DLA CIEBIE POLSKO i DLA TWOJEJ CHWAŁY!

Chłopcy!

Nasze doroczne przedstawienie szkolne się odbyło. Wykazaliście, że z roku na rok lepiej się do tego zabieracie. Nasza „Halszka z Ostroga" spotkała się z bardzo życzliwą krytyką myślącej i kochającej młodzież publiczności. Niestety nie trafiliśmy wyborem sztuki wszystkim do gustu. W epoce dancingów i różnych błazeństw teatralnych, które publiczność dzisiejsza rzęsiście oklaskuje — nie mogliśmy liczyć na bardzo wielką frekwencję widzów. Jedni nie przyszli — hołdując modzie nowoczesnych, często zupełnie bezwartościowych widowisk teatralnych, drudzy ubrali się w togę wyniosłych krytyków i deklamowali, że jesteśmy „błędnymi żeglarzami na morzu przeszłości".

Ale — udało się, a nasza brać szkolna pierwsze nasze przedstawienie bardzo licznie odwiedziła. Widać, że młodzież już schodzi z torów bezkrytycyzmu naszej epoki.

Więc niech was nie przeraża czysty dochód w wysokości tylko 209.12 zł.

Józef Jentsch,
kurator „Filarecji".

W białym dworze.

Pan Leon Dzikowski odziedziczył po rodzicach dość pokaźną fortunkę, ale pan Leon lubiał się bawić, więc kiedy przy schyłku wesołego żywota przyszła nań pewnego napół trzeźwego poranku chwila opamiętania, zobaczył całą swą fortunę w takim stanie, że coprędzej wytrzeźwiał do reszty i jął ratować, co pozostało jeszcze do uratowania.

Pozbywszy się jednym zamachem wszystkich obdłużonych folwarków, sprzedawszy zbytkowną stajnię cugową, rozpędziwszy na cztery wiatry zgraję kosztownych lokajów, stangretów i ekonomów o lepkich rękach, udało mu się zatrzymać jeden z całego „klucza“ mająteczek — Różanę.

Bo pan Leon lubiał hulać—, ale, mimo całego przywiązania do zabaw, zbytków, wina i kart, wolałby raczej chodzić w wytartej kapocie i jeść bodaj razowy chleb z siadłem mlekiem, niz pozbyć się Różanej. Różana była gniazdem Dzikowskich, w Różanej urodził się i umarł pradziad, dziad i ojciec pana Leona, każdy z Dzikowskich uważał za swój obowiązek coś po sobie w Różanej zostawić, coś zbudować, coś odnowić, czemś ozdobić— Dzikowscy nie potrafiliby bez Różanej istnieć.

Pan Leon był Dzikowskim w każdym calu, więc też odetchnął głęboko, kiedy po długich zachodach oświadczył mu wreszcie prawnik w mieście, że na Różanej nie ciąży już ani grosz długu. I hulaszczy pan Leon potrafił tak sobie życie ułożyć, że kiedy je pewnego cudnego wiosennego wieczora kończył, mógł z czystem sumieniem nakazywać swemu jedynakowi, by raczej zczezł, niż miał zmarnować Różanę.

Zbyteczne to zresztą było nakazywanie, bo Julek Różanę kochał mocniej jeszcze może niż ojciec.

Od dzieciństwa przywiązał się do białego, w powodzi pnących róż ginącego dworku tak mocno, jak tylko dzieciak przywiązać się może, a różański park i przylegający do niego las były dlań światem. Znał tam każde drzewo, każdy krzak, każdą ścieżkę, każdy kamień, wiedział, ile par słowików zamieszkuje

wiosną czeremchy nad strumykiem, ile jest gniazd wiewiórczych po dziuplach w starych dębach.

Największem zmartwieniem jego młodych lat był pierwszy wyjazd do miasta, do szkół, — skąd zresztą uciekł po tygodniu i ukrył się przez dni kilka w bzowych gąszczach za domem, dopiero głód go stamtąd wypłoszył. Odwieziony znowu, mówił przez sen o Różanej i liczył dnie i godziny do świąt, na które miał jechać do rodziców.

W późniejszych latach uczucie jego bynajmniej nie zmalało. Malutkiej Różanej nie zamieniłby na największe i najlepiej zagospodarowane dobra; w rozmowach z ojcem snuł czasem takie plany i projekty, że ojcu i synowi oczy się śmiały do obrazów, co się przed zachwyconą duszą rozpościerały. Pewnego razu koledzy szkolni znaleźli między jego książkami zeszyt, w którym cudnie prostą mową serca tak opisywał Różanę, jak się ona jego duszy w ciągu chmurnych, ponurych dni zimowych w zadymionem, brudnem mieście śniła. Spoważnieli chłopcy, czytając ten wiersz, co płynął przed nimi, mienił się barwami, jaśniał słońca promieniem, pachniał bzami, czeremchą i skoszonem sianem, i szumiał jak drzewa w lesie, i szemrał, jak woda w strumyku.

A Różana godna była takiego wiersza — była naprawdę śliczna. Cztery razy do roku zmieniała swą szatę, ale tyle zawsze roztaczała uroku, tyle czaru, że Julkowi trudnoby było zdecydować, kiedy mu się piękniejszą wydawała.

Czy zimą, kiedy się w białe przybierała puchy — ? Dwór stał w otoczeniu pól białych, dach dworu biała pokrywała czapa, zwisały lodowe sople, za dworem spał cicho w śniegach i szronach pusty i głuchy park, mieniła się i grała w słońcu stu tęczami śnieżna okiść na ciemno-zielonych jodłach przed dworem, a we dworze, w głębokich wnętrzach pokojów, trzeszczały wesoło na kominkach smolne bierwiona, pachniała żywica, rozchodziło się miłe ciepło, a ruchliwe, czerwone blaski ślizgały się po starych meblach, ścianach, obiciach, migotały w metalach broni porozwieszanej, w złoconych ramach obrazów i portretów, całowały zamknięte w nich zczerniałe twarze.

Czy wiosną, kiedy się okrywała jasną zielenią świeżo rozwiniętego pąkowia — ? Runiły się pola, w sadzie spływały cicho na ziemię płatki kwiatów wiśni, grusz, śliw i jabłoni, co

stały w swej białej, pachnącej szacie, niby mniszki, skromne, czyste, piękne, dostojne... Park budził się do życia, zieleń coraz władniej zapanowała nad czernią i szarością, i dwór jął się nią przesłaniać; słońce całowało jego białe ściany, paliło się w szybach okien i zaglądało ciekawie do wnętrza i domu i jego mieszkańców. A z parku i lasu dzwoniły rozśpiewane gardziołki skrzydlatej rzeszy, co się co rok do różańskiego raju z krańców zlatywała świata...

Czy latem, kiedy słońce zboża pozłociło, a dwór tonął w morzu rozkwitłych różanych kwiatów—? Niby królowa stroiła się Różana w złotą suknię zbożnych niw, a sam dwór spowijał się w kwitnące róże: z pod róż nie widać było ścian ni dachu domu, na klombach koło domu one czerwieniły się i bieliły, a słodka, upajająca woń przepełniała powietrze; w parku panował miły chłód, bo słońce nie mogło się przedrzeć przez gęste sklepienie listowia i tylko małe złociste plamki biegały ruchliwie po trawie, pełzały po wodzie strumyka, złote w niej zapalając iskry; wirowały w słońcu roje muszek maleńkich, wygrywając skrzydełkami jednostajną, senną symfonję letniego południa...

Czy jesienią wreszcie, kiedy drzewa i krzaki zapłonęły purpurą i złotem — ? Po pustych ścierniskach snuły się nici babiego lata, błyszczały pastusze ognie, po zbladłem niebie ciągnęło ptactwo stadami za morze, park i las zżółkły i tylko gdzie niegdzie zabielał pień brzozy, lub trysnęła na żółte tło czerwona plama klonowej kopuły. Na jabłoniach czerwieniły się krasne jabłka, czasem śliwa między listowiem owoszczonym przebiła granatem. Liście, jak łzy, leciały z drzew, leciały, aż pokryła się ziemia szeleszczącym kobiercem. Słońce dziwnie świeciło, jakby ostudzone, coraz krócej przebywając nad ziemią, aż i rankami białe pojawiły się szrony. warząc resztę listowia na drzewach . . . .

. . . .

Julek skończył był właśnie szkołę, kiedy mu zbrakło ojca, a w kilka miesięcy później rozpalił się nad światem pożar wielkiej wojny.

Od dalekiego frontu dochodziły wieści o zniszczeniach, wyrządzanych przez wojnę, o spalonych wsiach, o wyciętych lasach, o miejscowościach, w perzynę obróconych. Niepokój Julka rósł

z każdym dniem, aż kiedy wreszcie raz pierwszy usłyszał oddalony huk armat i kiedy pierwszą ujrzał łunę pożaru, wstrząsnął nim dreszcz. Odtąd przez długie dnie i noce uparcie dokuczała mu myśl, że ten biały dworek za kilka dni może zamienić się w kupę dymiących zgliszcz, że legną pokotem te dumne dęby i biełe brzozy i smętne jodły, co tu od wieku stoją na straży.

Mijały jednak dnie, tygodnie i miesiące ciężkich niepokojów; front zbliżał się i oddalał, były chwile, kiedy stare ściany drżały od huku, a drzewa w parku, sieczone przez grad kul, szumiały smutnie, spłonęły nawet stajnie dworskie, — a dwór jakoś stał cało. Zachwycali się nim zatrzymujący się tu kilkakrotnie oficerowie to tej, to tamtej naprzemian ze stron walczących, podobało im się to zaciszene gniazdo szczególnie teraz, gdy tyle było ruin w tym kraju; a ono stało, jak dawniej, w otoczeniu starych drzew, i jak dawniej śpiewały w czeremchach słowiki, i jak dawniej kwitły róże.

Minął jeszcze czas pewien, aż nadszedł ów rok, kiedy to rozbrzmiał po kraju bojowy zew, hasło do świętej walki. Śpieszyła młodzież ze wszystkich stron, by przywdziać szary mundur i z orzełkiem u czapki walczyć o lepsze jutro, o wolność dla swej ziemi.

I Julek też przywdział szary mundur — wstąpił do legjonów, wziąwszy na pożegnanie w duszę obraz swej Różanej.

Przydzielono go do artylerji. Zrazu oszałamiał go ciągły huk dział, mącił mu myśli i działał nań przygnębiająco; później oswoił się z nim, pracował gorliwie w swojej baterji, a nawet polubił walkę. Jego pilność, zapał, zdolności i męstwo, które zdarzała mu się sposobność niejednokrotnie okazać, zwróciły nań oczy dowódców, tak, że dość szybko awansował. Z czasem przywiązał się nawet do tych ziejących śmiercią i zgubą stalowych potworów, w których huku, już jako porucznik, usłyszał pewnego razu radosne vivat na cześć podnoszącej się z grobu Tej, o której tak długo śniły tysiące w grobach, rozsianych od tajg syberyjskich aż po żyzne, nilowe muły i po Sahary lotne piaski . . . . .
. . . .

Uszli ze wstydem zaborcy, przebrzmiały echa strzałów pod Lwowem, pokryły się darnią mogiły, przestały płynąć łzy z matczy-

nych oczu, poczęły się wznosić na pogorzeliskach nowe budynki i wrócił do swej Różanej porucznik Juljan Dzikowski. Przywitała, go radośnie, ubrana z całym przepychem w wiosenną swą szatę. Stał w obłoku kwiecia sad, a w księżycowe, przesycone wonią bzów liljowych noce, aż trząsł się park od trelów rozśpiewanych słowików...

Szybko leczyła polska wieś słodkimi swymi lekami osłabłe ciało i ducha swego kochającego pana. Słońce wyzłacało mu duszę, spokój i cisza były kojącym balsamem dla jego steranych nerwów i strutego serca—aż pierzchły zeń resztki goryczy, niechęci.

Płynęły jasne dni w Różanej, minęła wiosna, lato, jesień i zima i druga mijała już wiosna, gdy znów ciemne chmury wypłynęły na horyzont polskiego nieba i znów zahuczały armaty i znów łuny pożarne zakrwawiły niebo: złe moce rozpętały burzę wojny z bolszewicką Rosją.

Juljan Dzikowski, jako oficer-rezerwista, od pierwszych chwil znalazł się w szeregach. Razem z pułkiem piechoty, który wspierany był przez jego baterję, przeszedł przez piekło przegranych bitew i potyczek, przez mękę przeciągającego się w bezkres odwrotu, cofał się i cofał w głąb kraju, aż pewnego razu zauważył, że weszli w okolice znajome i że szlak, którym zdąża pułk i on, wiedzie wprost na Różanę.

Ścisnęło mu się na tę myśl serce. Jego pułk cofał się wprawdzie, ale cofał się, jak wilk, ścigany przez psy, odwracając się co chwila i pokazując zęby — jego własna baterja miała za sobą sporo gruzów i pogorzeli.

Jakoż rzeczywiście doszło na różańskich polach do ostrej potyczki. Pułk otrzymał rozkaz utrzymania się na linji Różanej choćby przez dobę. Dwie kompanje zasadziły się w zabudowaniach dworskich, a dwie inne o kilkaset metrów dalej—w samym dworze i gęstemi salwami powitali bolszewików. Po gwałtownej strzelaninie bolszewicy, w sile kilku bataljonów, rzucili się najpierw na obejście gospodarskie, a potem na dwór i wyparli z obu miejsc naszych! Pozostała robota dla dział...

Julek ze swego stanowiska na odległem o dwa kilometry wzgórzu, przez lornetkę, oglądał zajęty przez bolszewików dwór.

Nie widać było ścian jego białych, ni dachu z pod fali kwitnących róż, na klombie przed domem cudnie się czerwieniły

i bieliły róże. Stał dwór skąpany w słońcu i w różowem kwieciu, na tle ciemnej zieleni drzew parkowych, połyskującemi szybami okien, niby oczyma, patrząc ua Julka.

Gorączkowo zarządził celowanie, poczem raz jeszcze, spojrzawszy przez lornetkę, zbielałemi wargami krzyknął:

— Ognia!...

Huk, błysk, jeden i drugi i trzeci...

Zakolebała się ziemia, zaszumiały wokoło krzaki; Julkowi na moment mgła przesłoniła oczy . . . .

. . . .

Biały, stary dwór przestał istnieć . . . .

. . . .

Pułk w Różanej utrzymał się po odwrocie bolszewików ze zbombardowanego dworu do rana dnia następnego, poczem znowu począł się cofać pod parciem przeważających sił nieprzyjacielskich.

T. B.

Z teki Krysi.

„Aut Cezar — aut nihil".

Trzeba cezarem być — bożyszczem tłumów,
Którego każde słowo jest rozkazem —
Mistrzem wymowy, twórcą boskich rymów — —
Trzeba być władcą i mędrcem zarazem,
Całej ludzkości wiecznie krwawym zniczem,
Trzeba cezarem być... albo też niczem.

Ave Cezar!...

Ty milczysz, o Cezarze — w twej kamiennej loży,
Spowity w miękkie fałdy swojej białej togi,
Zdasz się nawet nie widzieć, że tam gladjatorzy
U twych stóp przystanęli, chmurni, pełni trwogi
— „Ave Cezar!" — wołają — „Ci, co zginąć mogą,
Cześć ci niosą!" — Cezarze, ty siedzisz milczący?
Ach powstań — każ rozpędzić ten tłum krwi łaknący —
Albo chociaż ze wstydu oczy zasłoń togą.

W ALTANIE.

Gąszcz mię jaśminu dokoła oplata,
Mur drzew parkowych stanął za mną skrycie,
Chciałabym tutaj prześnić całe życie,
W ciszy mych marzeń — zdaleka od świata.

Chciałabym nie czuć, jako lata płyną,
Tonąc oczami w złotych pól przestrzeni,
I pod ogrodu osłoną zieleni
W bajkę godzinę zmieniać za godziną.

I ja odejdę...

Już złoto się przebija przez zieleń ogrodu,
Niedługo liście spadną, i odlotne ptaki
W ślad za słońcem ulecą powietrznymi szlaki.
I ja także odejdę... jesiennego chłodu
Choć się przecież nie lękam — i wiecznego lata
Nie wymagam od życia. Idę, bo iść muszę,
Iść, aby sobie miejsce wywalczyć wśród świata,
Lecz na ołtarz jesieni tu mą składam duszę.

Prasa radomska o „Halszce z Ostroga".

W numerze z dnia 13.XII. 1926 r. pisze „Słowo" radomskie o wystawionej przez gimn. im J. Kochanowskiego w Radomiu „Halszce z Ostroga" co następuje:

„Koło Młodzieży „Filarecja" przy gimnazjum im. J. Kochanowskiego otrzepało pył ze starego, prawie zapomnianego, dramatu „Halszka z Ostroga" J. Szujskiego i w bardzo miłej formie wystawiło go na deskach „Rozmaitości". Takich sztuk nie możemy zobaczyć i nie zobaczymy w wykonaniu artystów zawodowych; teatr jak żywa myśl goni bieżącą chwilę, nie lubi cofać się, chyba do arcydzieł. Więc należy ocenić dobrą wolę i z wdzięcznością odnieść się do młodych amatorów, że zechcieli swemi postaciami ożywić stare karty jeszcze starszej historji, przesunąć się przed

naszemi oczami kolorową wstęgą barwnej przeszłości, przemówić prostemi, niesłyszanemi słowami o dziwnych rzeczach, o których dzisiaj wcale nie myślimy, nie mówimy. Z pewnem niedowierzaniem słuchamy, że kiedyś, w Polsce, były córki posłuszne matkom, były przysięgi nieugięte, mocne, jak stal, i że z tych takich, dla nas dość wiotkich przesłanek, mógł wyjść prawdziwy dramat.

Czasami warto spojrzeć przez okno sceniczne na daleki szlak wieków, oczami niewspółczesnego pisarza.

Z postaci dramatu zasłużyły na wyróżnienie w pierwszym rzędzie Halszka i księżna, następnie książę Wasyl. Dymitr może był za bardzo pur sang liryk. Dobree pizody Górki i Odachowskiego. Całość wystawiona z pietyzmem, interesująco i sympatycznie.

Sypki jest naród polski, jak piasek wiślany, nieruchawy, jak jego ławice, nie lubi trzymać się kupy, luzem chodzi, a racze leży, pod szarem, polskiem niebem. Jedyne objawy solidarności— to podnoszenie cen i od czasu do czasu strajki. Przypominamy sobą olbrzymie stado, z drzemiącą w nas wielką siłą, a reagujące na trzaskanie konopnego bata. Kompletny zanik zmysłu organizacyjnego, cały szereg wegetujących związków, osamotnione prezydja. Brak zainteresowania się celami organizacji w ich własnem łonie, więc nie można nawet mówić o wzajemnem zainteresowaniu się poszczególnych organizacyj między sobą.

Starsze pokolenie już nie nauczy się życia zbiorowego; warto byłoby jednak, aby więcej zwracało uwagi na związki młodzieży, na wpajanie w młode umysły poczucia, że poza ramami organizacj jednostka ginie w bezimiennym tłumie, zaciera się. Nie można ignorować odruchowych dążeń do blokowania sił; przeciwnie należy wzbudzać przeświadczenie, że najmniejsza organizacja jest celową i zwraca na siebie uwagę ogółu.

Naród jest związkiem związków, zcementowanych wspólnością interesów. Może dzisiejsza młodzież bezpośrednio z kadr swoich organizacji wniesie w życie nerw łączności, zdolnej do wydobycia z dotychczasowej, piaskowej ławicy, jasno zarysowanych linji struktury społecznej.

Dlatego z przyjemnością notuję każdy najmniejszy przejaw organizacyjnego życia młodzieży".

M.

Pan Frańciszek o sobie.

Trzy są dla mnie wielkie troski,
Nieskończone utrapienia,
A z tem łączą wciąż się w domu
I łajania i zmartwienia.

Pierwsza z nich jest — ranne wstanie,
Druga — prędkie ubieranie,
A następna męka życia,
To, gdy przyjdzie czas do mycia.

I dopiero wszystkie troski
Zapominam przy podaniu
Mi miłego, rozkosznego,
I smacznego też śniadania.

Dym kawuni serce słodzi,
Kiedy wkoło się rozchodzi.
Tu bułeczka tak kochana,
Tak ponętna, tak rumiana.

Lecz gdy oko moje padnie —
Bijcie gromy i oszczerce!!!
Na ten miodek czysty, piękny,
W kryształowej salaterce,

Już mi więcej nic nie trzeba.
Miód na bułce się rozlewa,
Kawa płynie w sam głąb brzucha.
Oko — silną wolą bucha.

Ale teraz jest pytanie:
Czym zadużo nie zjadł, panie?!...
Bo są po tem różne skutki...
Tedy wstaję z krzesła rzutki —

Piękny, świeży. Lecz na czole
Wstaje zmarszczka... jedna, druga.
Wszak to jeszcze jest nie koniec:
Wszak jest linja cierpień długa...

O! Nie lekkie są mozoły.
Primo: — trzeba iść do szkoły.
Później: — dotrwać lekcji końca,
Miast zażywać, leżąc, słońca.
...Przecież dzisiaj tak pogodnie —
Można w cieniu i.. wygodnie...

Gdyby tata gdzieś wyjechał,
Toby jeszcze można było...
Hm, chorować... nieszkodliwie...
Ach! Jak w łóziu leżeć miło!...

Tercio: — trza się tu sposobić...
No, to da się jeszcze zrobić,
Bo obiad siły pokrzepi —
I będę rozumiał lepiej.

A quarto: — pójście na spacer.
To lubię, zwłaszcza gdy świeci
Słoneczko, mi rażąc oczy,
I żarek przyjemny nieci...

Znam ja spaceru zadanie,
Gdy wolno przechodzą panie
I wolno chodzą panowie —
Nie trza mieć wtedy pstro w głowie.

I trzeba chodzić poważnie,
Jak po obiedzie przystało,
Żeby w żołądku wszystko
Powoli się układało.

I wtedy, chodząc, z sumieniem
Ja toczę walkę ze drżeniem
I myślę com przez dzień cały
Zrobił dla swojej chwały.

I myślę, żem wielki człowiek,
Bo gdy podrosnę latami,
Zaraz się wsławię czynem,
Nie jednym czynem — czynami...

I tego wnet zrobię szusa,
Obstanę z metodą Russa:
Rozkażę szkoły zamykać —
Uczniów na wolność. . brykać...

I spokój wtedy nastanie.
Dostatek wsząd będą mieli;
Ja pewnie zasiądę królem,
Mając wkoło wielbicieli.

Jak dawniej Baba-Jaga
Była dla dzieci postrachem,
Tak teraz dzieciom straszydło
Będzie — to straszne mydło...

I kiwam głową, i myślę,
Jakby też to dobrze było,
Gdyby się tak nigdy, nigdzie,
Nikomu też nie spieszyło.

I myślą zawsze osnuty,
Nadziany i nakłuty,
Wracam już raźniej skulony,
Bo słońce za nieboskłony
Już zaszło; zaś wiater chłodzi,
Co nieco mi zdrowiu szkodzi.



I JA BYŁEM FARYSEM!...

Na linoleum wyk. H. Salamoński.

Z Miesiąca.

Gimnazjum żeńskie M. Konopnickiej dopełnia, jak dotąd, zamierzonego planu urządzania „Poranków Artystycznych“, według zapowiedzi na inauguracyjnej uroczystości; w okresie przedświątecznym dało nam znowu dwa „Poranki“, dostarczające równie miłych wrażeń jak poprzednio

Program poranku z dn. 5.XII 26 r. wypełniło powstanie listopadowe. Referat p. Sokołówny „Powstanie Listopadowe“ odznaczał się ładnym językiem, jasnym stylem i prostym sposobem wyrażania myśli. Wartość referatu jako referatu literackiego jest duża, znacznie mniejsza jako historycznego; lecz to daje się tłomaczyć tem, że referentka nie chciała przedstawić suchego przebiegu wypadków, dobrze znanych W swym elaboracie p. Sokołówna uwzględniła szczególnie wpływ, jaki wywarło powstanie na Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego. Na specjalne podkreślenie zasługuje sposób odczytania pracy, przez odpowiednią modulację głosu i jego natężenie uwydatniły się zalety referatu, okazywała się jego płynność.

Pięknie się wydała deklamacja p. M. Figurskiej wyjątku z „Warszawianki“ Wyspiańskiego, podcieniowana przez śpiew chóru. Deklamacja ta zdołała rzeczywiście narzucić sali nastrój— to wystarcza.

Głównym punktem poranku z dn. 12.XII 26 r. był odczyt p. W. Wojciechowskiej; „Renesans we Włoszech w sztuce i literaturze.“ Referat dobrze opracowany, ujmując syntetycznie całą epokę, dawał jasne o niej wyobrażenie. Poranek zakończyły deklamacje: p. p. Jopkiewiczówny, R. Miechowskiej (wyjątek z „Piekła“ „Boskiej Komedji“ Dantego,) K. Szubińskiej („Czyściec“) i Ir. Orzechowskiej („Raj“). Słabiej wypadła deklamacja p. Orzechowskiej, „Raj“, bo też ten wiersz jest b. trudny do oddania. Samym poetom łatwiej jest odtworzyć w słowach przekleństwa i męki potępieńca niż zachwyty i rozkosze duszy zbawionej; nawet u Dantego opis nieba jest dość blady i „Raj“ stanowi najsłabszą część „Boskiej Komedji“.

Nasza „Filarecja‘ tradycyjnie i w tym roku wystawiła sztukę teatralną, dramat historyczny J. Szujskiego, „Halszka z Ostroga“. Przedstawienie to było b. starannie opracowane staranniej nawet

niż „Zemsta", niestety nie odbiło się to na kasie, ponieważ publiczność daleko słabiej reaguje na tragedję niż na komedję. Na specjalne podkreślenie zasługuje wystawa, na którą widzowie małą zwykle zwracają uwagę, a zwłaszcza oryginalna ikona, wydobyta z piwnic kościoła pobernardyńskiego i meble stylowe, które dzięki swej zapobiegliwości zdołał p. Kurator zdobyć. Meblę te, poświęcając się dla „Filarecji" i sztuki, myśmy przenieśli przy czynnym współudziale kol. Nowaka, na barkach swych do miejsca przeznaczenia — teatru.

Wszyscy amatorzy wywiązali się ze swego zadania dobrze. Panna Dziewulska w głównej roli okazała dużo swoistego, właściwego jej wdzięku i nie wymuszonej prostoty, tak, że postać Halszki sprawiała bardzo miłe i sympatyczne wrażenie. Pani Mroczkowa, jako Beata, stworzyła doskonały typ dumnej Kniahini, która z zaciętością dąży do raz obranego celu i dla osiągnięcia go hołduje zasadzie „cel uświęca środki", niebacząc na ofiarę, jaką narzuca córce, nadużywając praw matki i sprowadzając wreszcie jej duchową katastrofę.

Z ról kobiecych grze Halszki i Beaty Ostrogskiej trudno byłoby coś zarzucić. Pani Romanowiczowa (Kunegunda), mimo jednej tylko próby, zdołała dociągnąć do ogólnego poziomu, co jest rzeczą b. trudną.

Dymitr (Bołdok) miał niewdzięczną rolę, w którą włożył dużo pracy. Gra Zygmunta Augusta (Konarski), Marcina Zborowskiego (Majewski), Odachowskiego (Bąbała) i wreszcie Marszałka dworu (Kamala) była dobra, szczególnie Łukasz Górka (Prendowski) zupełnie wyczerpał swą krótką rolę i wydobył z niej możliwie największy efekt.

Doskonale wywiązał się ze swej roli kol. Myśliwski, który zdołał zupełnie bez zarzutu odtworzyć postać krewkiego Kniazia. Jako Kniaź Wasyl pokazał nam, że potrafi równie dobrze oddać energję i porywczość, jak rozlazłość i głęboką dobroduszność Dyndalskiego. Słowem, całej jego postaci, wszystkim ruchom, głosowi nic nie możnaby zarzucić.

Niezwykłą w swoim rodzaju rolę miał kniaź Siemion (Mrozowski), jedyny milczący artysta, który decydująco wpływa na rozwiązanie akcji. *Medwoj.*

ZE SPORTU.

Sport w naszej szkole rozwija się bardzo pomyślnie. Dużą zasługę w tem położyło Kółko Sportowe, pod sprężystem kierownictwem p. prof. Morawskiego.

Uruchomione zostały następujące sekcje sportowe: lekkoatletyczna, volley-ballowa, szczypiorniakowa, kolarska, strzelecka, bokserska, tennisowa i łyżwiarska.

Najżywotniejszą działalność wykazała sekcja lekko-atletyczna. Tegoroczne wyczyny znane są z poprzedniego numeru. W volleybalu i w szczypiorniaku zostały rozegrane mistrzostwa szkoły i Filarecji. Jak wiadomo mistrzem w obu tych dziedzinach została klasa VIII. Staraniem Koła Sportowego odbyły się wyścigi kolarskie o mistrzostwo szkoły na dystansie 5 klm. Również żywą działalność rozwija sekcja strzelecka, staraniem której odbyły się zawody strzeleckie z floweru do 7-mio promieniowej tarczy z odległości 25 m. o mistrzostwo szkoły i Filarecji. Pozostałe sekcje intensywnie się trenują. Spodziewamy się, że wyniki nie dadzą na siebie długo czekać. *Miecz. Prendowski.*

TURNIEJ SZACHOWY.

Staraniem Kółka Szachistów przy K. M. „Filarecja" odbył się turniej szachowy pomiędzy reprezentacją naszego gimnazjum a Szkołą Techniczną, który zakończył się zwycięstwem naszego Gimnazjum w stosunku $7^1/_2 : 2^1/_2$.

Warunki turnieju były następujące: reprezentacje obu szkół składają się z pięciu zawodników każda, z których partjami każdy rozgrywa dwie partje. Gimnazjum nasze reprezentowali trzej uczniowie z klasy VIII-ej: Mazur, Mieszkowski i Prendowski, oraz dwaj uczniowie z klasy VI-ej: Krawczyk W. i Saski. Tych to pięciu zawodników zebrało $7^1/_2$ punktów, straciwszy tylko $2^1/_2$.

Turniej odbył się w budynku naszego gimnazjum, a sędziami byli członkowie Kółka.

Miecz. Prendowski.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny **Józef Jentsch** — Radom, pl. 3 Maja 1

— Odbito czcionkami Zakładów Drukarskich Sejmiku Radomskiego i S-ki. —